

CYKL Z KOMISARZEM ZAKRZEWSKIM

Mieczysław  
**GORZKA**

**ILLUZJA**



BUKOWY LAS



Część pierwsza

# ZDJĘCIE Z WAKACJI



# 1 CZŁOWIEK W KAPELUSZU

18 czerwca, czwartek wieczorem

Pogoda gwałtownie się zmieniła.

Przez dwa kwadranse leniwie siąpił deszcz, splukując szary pył z trotuarów. Potem przestało padać, ale niebo pozostało zasnutę grubą warstwą chmur. Pochłodziło.

– Zmarzłam. – Agnieszka objęła się ramionami i zadrżała.

Robert ściągnął z pleców dżinsową kurtkę i narzucił jej na ramiona. Skorzystał też z okazji, żeby przyciągnąć ją do siebie i pocałować w usta.

– Daj spokój, ktoś zobaczy – zaśmiała się, zerkając niespokojnie na samochody przejeżdżające z szumem po mokrym asfalcie Wybrzeża Wyspiańskiego, jakby wszyscy kierowcy gapili się tylko na nich i jeszcze robili im potajemnie zdjęcia, które natychmiast umieszczali gdzieś w Sieci.

– Niby kto? – zakpił. – Jesteśmy tu sami.

Stali oparci o metalową barierę tuż przy korycie Odry. Zapadał zmrok, zapaliły się uliczne latarnie. Po lewej stronie widać było stalowe liny kolejki linowej łączącej zachodni brzeg rzeki z Politechniką Wrocławską. Po prawej jasno oświetlony most Grunwaldzki, po którym w obie strony ciągnęły sznury samochodów. Zza mostu

wyłaniały się strzeliste wieże katedry i jasna poświata Ostrowa Tumskiego. Światła odbijały się w czarnym nurcie rzeki, tworząc na jej powierzchni różnokolorową, ciągle zmieniającą się mozaikę. Widok robił wrażenie.

Właśnie takie obrazy plus magiczny klimat Rynku i położonego obok placu Solnego sprawiły, że Robert Jasiurski zakochał się we Wrocławiu. Nie wiedział tylko, czy miasto odwzajemni jego gorące uczucie. Od kilku tygodni szukał pracy, żeby sfinansować ostatni rok nauki na Akademii Medycznej. Na razie bezskutecznie.

– A ten facet w kapeluszu? Chyba na nas patrzy.

Rzeczywiście, od strony mostu Grunwaldzkiego wolno zbliżał się do nich mężczyzna. Robert już miał odpowiedzieć żartem, lecz coś go zaniepokoiło w postawie nieznanego. Był dziwnie ubrany, miał na sobie płaszcz sięgający prawie do kostek i kapelusz. Płaszcz był niezapięty. Mężczyzna poruszał się groteskowo nienaturalnie. Szedł bardzo wolno. Stopy w czarnych lakierkach stawiał ostrożnie, jakby miał pod podszewkami warstwę lodu. Chwiał się, kolana ugięły się pod ciężarem ciała, sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał się przewrócić na chodnik.

– Co mu jest? – rzuciła Agnieszka. – Może jest pijany?

Robert pokręcił głową. Nienaturalnie uginające się w kolanach nogi mogłyby świadczyć o tym, że jest pod wpływem heroiny, ale takie przypuszczenie kłóciło się ze zdrowym rozsądkiem Roberta. Ten człowiek nie wyglądał na narkomana. Robert Jasiurski, student piątego roku medycyny, natychmiast przeanalizował objawy. Kłopoty z sercem? Niewydolność oddechowa? Udar? Nic nie pasowało. Może jednak najzwyczajniej w świecie facet był pijany w sztok?

Tymczasem mężczyzna zbliżył się do nich na kilka kroków, widzieli już wyraźnie jego twarz. Przypominała nieruchomą, zastygłą w wyrazie odrętwienia maskę o barwie kartki papieru. Lśniła potem. Pod rondem staroświeckiego kapelusza à la Philip Marlowe jarzyły się zamglone bólem albo szaleństwem oczy.

Jak dwa martwe diamenty. Myśl, która przemknęła przez głowę Roberta, była zupełnie bezsensowna.

Mężczyzna był dwa kroki od nich. Robert już otwierał usta, żeby go zagadnąć, lecz spojrzął na klatkę piersiową nieznanego i z jego ust nie popłynął żaden dźwięk. Płuca dziwnego przechodnia walczyły o każdy oddech, jakby był nurkiem, a wskaźnik zawartości powietrza w butli dawno wszedł w czerwone pole i zbliżał się do zera. Cienkie, blade wargi były rozchylone w grymasie przypominającym ten, który czasem pojawia się na ustach trupa, kiedy zanika pośmiertne stężenie mięśni. Robert widywał takie uśmiechy na zajęciach w prosektorium, na początku śniły mu się po nocach. To skojarzenie sprawiło, że stanął jak skamieniały. Nawet nie słyszał tego, co Agnieszka mówiła tuż za jego plecami. Widział tylko te wargi.

W ustach mężczyzny zobaczył jeszcze coś dziwnego. Równe zęby w górnej szczęce były czarne.

Robert skupił się na nich w ostatniej chwili, kiedy nieznamy przed nim przechodził. One nie były czarne, tylko czerwone. Krew!

Krwi było więcej.

Mężczyzna minął ich i zobaczyli jego plecy. Cały tył płaszczu pokrywała wielka, ciemna plama o nieregularnych kształtach. Robert znowu przypomniał sobie, że jest studentem piątego roku medycyny. Szybko ocenił, że krew musi płynąć z rany na głowie. Tylna część kapelusza była zakrwawiona, tak samo jak odkryty kark idącego.

Agnieszka zacisnęła mu rękę na prawym ramieniu i wykrzyknęła do ucha:

– On jest ranny!

Robert znowu nie zdążył się odezwać ani wykonać żadnego ruchu, ponieważ mężczyzna w płaszczu do kostek i w staromodnym kapeluszu nagle się potknął i runął do przodu na chodnik. Upadał jak pozbawiona szkieletu szmaciana lalka. Czoło zaryło w płytę chodnikową z koszmarnym, głuchym odgłosem. Kapelusz zatoczył półkole i znieruchomiał. Ręce poleciały bezwładnie na boki, nogi pozostały podkurczone. W tej scenie było coś tragicznie groteskowego. Robert czuł się, jakby wszystko oglądał na wielkim kinowym ekranie w zwolnionym tempie.

Ocknął się dopiero, kiedy Agnieszka krzyknęła:

– Trzeba mu pomóc!

Robert ukląkł obok, wyciągnął rękę i zaraz ją cofnął. Widok był przerażający.

W czaszce mężczyzny widniała głęboka dziura o szerokości kilku centymetrów. Na jej brzegach można było dostrzec białe odpryski strzaskanej kości potylicy. Robert zaglądnął w otwór i wydało mu się, że widzi okrwawioną, galaretowatą masę mózgową. Z trudem przełknął napływającą do ust ślinę. Na studiach wielokrotnie widział rozczłonkowane ludzkie zwłoki, dlatego potrafił zapanować nad gwałtownym skurczem żołądka.

Niestety, Agnieszka studiowała pedagogikę.

Usłyszał za plecami jęk, potem odgłos wymiocin rozchlapujących się na chodniku i wreszcie jej przerażający, piskliwy krzyk. Dwie osoby z grupy idących po drugiej stronie ulicy przebiegły na ich chodnik i stanęły tuż obok. Nie słyszał już płaczu Agnieszki i pisku opon zatrzymujących się samochodów, w głowie kołatała mu się tylko jedna myśl.

Rana na głowie była śmiertelna. Ten człowiek powinien umrzeć natychmiast, w jednej sekundzie. Jak to możliwe, że szedł kilkaset metrów?

Ktoś dzwonił już na numer alarmowy 112.

Kilka minut później Robert usłyszał syrenę policyjnego patrolu.

## 2 ZWŁOKI W TAPCZANIE

25 czerwca, czwartek przed południem

Zgodnie z dokumentacją, którą prywatny przedsiębiorca budowlany Stefan Wilski otrzymał z magistratu wraz z umową na prace remontowe, mieszkanie na poddaszu kamienicy przy ulicy Siemieńskiego 16



stało puste od ośmiu lat. Ostatnia lokatorka, która zajmowała lokal składający się z dwóch pokoi o powierzchni szesnastu i dwudziestu sześciu metrów, jedenastometrowej kuchni oraz małej łazienki wydzielonej z części kuchni i pokoju, zmarła na początku roku 2006. Nie miała rodziny i mieszkanie komunalne przejęła gmina. Inspektor budowlany przeprowadził wizję lokalną już miesiąc później. Z notatki, którą wtedy sporządził, wynikało, że lokal nadaje się do kapitalnego remontu. I tu zaczęły się biurokratyczne schody.

Stefan Wilski od kilkunastu lat remontował takie lokale, więc doskonale wiedział, jak wygląda cała procedura i dlaczego ciągnie się w nieskończoność. W tej sferze rządziła mieszanek urzędniczego chaosu i zbyt niskich kompetencji rozproszona na trzy jednostki organizacyjne: Wydział Lokali Mieszkalnych, Zarząd Zasobu Komunalnego i spółkę Wrocławskie Mieszkania.

Stefan Wilski miał sześćdziesiąt trzy lata, nadwagę, naciśnienie i kłopoty z sercem. Od dawna zastanawiał się, po co jeszcze prowadzi firmę. Mógłby przejść na emeryturę i zająć się uprawą działki. Co prawda nie dorobił się na biznesie budowlanym wielkich pieniędzy, ale miał co nieco odłożone na czarną godzinę z kilku dużych transakcji, które zdołał ukryć przed fiskusem. Branża budowlana w Polsce nigdy nie miała najlepszej opinii. Od upadku komunizmu i zmiany profilu gospodarki na rynkowy nic się nie zmieniło. Każdy najmniejszy kryzys powodował nawarstwianie się zatorów płatniczych i w konsekwencji upadek najmniej odpornych na brak gotówki przedsiębiorców. Wilski miał trochę szczęścia i parę razy udało mu się po takim upadku stanąć na nogi. Odżył, kiedy zaczął współpracować z gminą Wrocław i remontować takie pustostany jak ten na Siemieńskiego. Kasa nie była duża, ale za to w terminie. Starczało na zatrudnienie kilku pracowników i odłożenie na emeryturę. Może dlatego jeszcze się nie wycofał? Szkoda było rezygnować, kiedy nareszcie wyszedł na prostą.

Dzień wcześniej podpisał umowę na remont lokalu numer dwadzieścia jeden i w czwartek już przed dziesiątą wraz z dwoma pracownikami wchodził po skrzypiących drewnianych schodach na poddasze kamienicy. Wilski zasapał się i przystawał na półpiętrach,

żeby chwilę odpocząć. Pracownicy stawiali na stopniach skrzynki z narzędziami i czekali na niego cierpliwie.

U Wilskiego zarabiał się dobrze. Był twardy, konsekwentny i sprawiedliwy. To zjednało mu szacunek i prestiż. Kto już zaczął dla niego pracować, zostawał na długie lata.

Wreszcie znaleźli się przed drzwiami lokalu. Na poddaszu, po prawej stronie od schodów, było jeszcze tylko mieszkanie numer dwadzieścia dwa. Wilski miał klucz, jednak zauważył, że mniej więcej w połowie wysokości starych, ciężkich, drewnianych drzwi z łuszczącą się farbą ktoś zamontował sztabę zabezpieczoną wielką, zardzewiałą kłódką. Nawet ucieszył się, że mieszkanie jest zamknięte na głucho. Wielokrotnie zdarzało się, że w lokalach, które miał remontować, zamieszkiwali dzicy lokatorzy, menele lub narkomani. Takich gości trudno było się pozbyć.

– Zenek, dasz radę? – zapytał.

Wysoki, dobrze zbudowany blondyn w ciemnozielonym ubraniu roboczym wzruszył ramionami.

– Jasne, szefie – odpowiedział i sięgnął do skrzynki po łom.

Kłódka wytrzymała, ale sztaba przybita gwoździami do spróchniałych drzwi puściła i z metalicznym szczękiem uderzyła w futrynę.

Weszli do środka.

Mieszkanie było w opłakanym stanie. Wilski rzucił okiem na odlepiające się od ścian w wielu miejscach brudne tapety, popękaną farbę na suficie, która w teorii tylko była biała, na łuszczącą się warstwę olejnej na framugach drzwi i ocenił, że ostatni remont zrobiono tu gdzieś w połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Stare meble pokryte były grubą warstwą kurzu i pajęczyn, podłogę pokrywała warstwa śmieci niewiadomego pochodzenia, przez zabrudzone odchodami gołębi okna wpadało do środka niewiele słonecznego światła.

Zapach od razu uderzał w nozdrza. Był inny niż normalny odór pustostanów. Zawierał w sobie jakąś słodkawą i mdlącą nutę, od której natychmiast robiło się niedobrze.

Drugi z robotników, ochrzczony ksywką Student, podszedł do okien i starał się je otworzyć. Były zabite gwoździami, więc udało mu się dopiero po chwili. Do środka wpadł strumień świeżego powietrza i odgłos przejeżdżających ulicą aut. W promieniach słonecznego światła wesoło tańczyły drobinki kurzu.

Wilski podszedł do otwartego okna i zaczerpnął powietrza. Od smrodu aż łzawiły mu oczy.

– Co tu tak jedzie? – jęknął Zenek.

Student wzruszył ramionami.

– Za godzinę będzie kontener – powiedział Wilski. – Popatrzcie, czy szybko da się zdemontować te meble.

Został przy kuchennym stole, a jego ludzie rozeszli się po pokojach.

Nagle jego wzrok padł na stary, powyginany od wilgoci kuchenny blat i aż drgnął zaskoczony. Na blacie zobaczył białą filiżankę, obok słoik kawy rozpuszczalnej i elektryczny czajnik. Wszystkie przedmioty lśniły czystością, jakby dopiero co były używane. Białą kabel przedłużacza biegł po podłodze wprost do skrzynki z licznikiem energii przy drzwiach wejściowych.

– A jednak ktoś tu mieszka – mruknął i w tej samej chwili z pokoju dobiegł go okrzyk Studenta:

– Jezus Maria! Co to?!

Szybko ruszył w tamtą stronę, Zenek już tam był. Wszyscy trzej przez chwilę patrzyli w osłupieniu. Wilski poczuł się dziwnie nie-realnie.

– Wygląda jak nagrobek – odezwał się cicho Zenek.

Stefan Wilski miał takie samo skojarzenie.

Pod przeciwległą ścianą stał stary, pokryty warstwą brudu tapczan. Na nim leżało kilka bukietów czerwonych róż. Niektóre były wyschnięte i poszarzałe od kurzu, jakby leżały tu od wielu miesięcy, ale jeden był świeży. Kwiaty dopiero co zwiędły, a kurz nie zdążył ich przykryć. Na stoliku obok stał krzyżyk i wypalony, duży biały znicz nagrobkowy.

Student, bystry chłopak, który studiował zaocznie zarządzanie, otrząsnął się pierwszy.

– Pewnie mieszka tu jakiś menel – powiedział. – Nie ma światła, więc używa zniczy.

Wilski powiedział im o swoim znalezisku w kuchni. Spojrzeli na niego zdziwieni.

– Otwórzcie ten tapczan – powiedział przedsiębiorca zdjęty nagłym przecuciem.

Zenek podniósł jedną część tapczanu, usłyszeli kliknięcie mechanizmu zapadkowego unieruchamiającego podniesioną część. Zajrzeli ciekawie do skrzyni.

Stefan Wilski w pierwszym momencie pomyślał, że leżą tam stare szmaty. Dopiero po kilku sekundach zrozumiał swoją pomyłkę. Zrobiło mu się słabo i pewnie byłby upadł, gdyby pracownicy nie złapali go mocno za ramiona.

Policjant wyglądał na mężczyznę po czterdziestce. Był wysoki, szczupły, ale nie chudy, miał szare, zmęczone oczy z nienaturalnie czerwonymi, jakby opuchniętymi powiekami. Błądą twarz dopełniały wąski nos i usta z wargami ułożonymi w poziomą kreskę. Miał proste blond włosy z wyraźnie widocznymi pasmami siwizny, szczególnie na skroniach. Ubrany był w wytartą dżinsową bluzę, narzuconą na czarny T-shirt z napisem w języku angielskim, szare obcisłe spodnie i czarne buty marki Salomon. Stefan Wilski znał tę markę, ponieważ kupił dokładnie takie same wnukowi z okazji urodzin. Mężczyzna nie wyglądał na policjanta, bardziej kojarzył się Wilskiemu z potencjalnym przestępcą niż stróżem porządku. Albo z lekko podstarzałym muzykiem rockowym. Szczególnie z przydługimi – jak na gust Wilskiego – włosami rozdzielonymi przedziałkiem na środku. Ale może tak właśnie powinien wyglądać śledczy? Nie za bardzo różnić się od półświatka, żeby skuteczniej działać.

Policjant się przedstawił, błysnął odznaką, ale Wilski nie zapamiętał ani imienia, ani nazwiska. Zapamiętał tylko przyjemny tembr głosu. Według niego zupełnie niepasujący do postaci.

Komisarz jakiś tam.

Najpierw – już po kwadransie od zgłoszenia – przyjechał policyjny patrol. Dwóch mundurowych po kolei zaglądało do skrzyni w wersalce. Obaj robili się bladzi, głośno przełykali ślinę, po czym wychodzili z pokoju, grając twardzieli. Wygonili Zenka i Studenta na korytarz i tak samo chcieli zrobić ze Stefanem Wilskim. Tyle tylko, że przedsiębiorca źle się poczuł i siedział na skrzypiącym krześle przy kuchennym oknie. Wziął tabletki na nadciśnienie i nie było mowy, żeby się ruszył z miejsca.

Później przyjechała karetka. Wilski się zdziwił, przecież ratownicy medyczni nie mieli tu czego szukać. Rzeczywiście, popatrzyli tylko do skrzyni, pokręcili głowami i zajęli się Wilskim. Uznali, że wziął dobre leki, poradzili, żeby odpoczął kilkanaście minut, i wyszli. Wilski nie wiedział, czy zostali wezwani w związku z odkryciem w tapczanie, czy do niego.

Potem przyszli dwaj technicy kryminalni ubrani w białe skafandry. Wyglądali jak postacie z filmu fantastyczno-naukowego. Wyrzucili mundurowych za drzwi, poprzeklinali trochę na bezmyślność patrolu – łącząc po całym mieszkaniu, zdeptali większość śladów – po czym wzięli się do roboty. Wilski z zainteresowaniem przyglądał się, jak ściągają odciski palców z różnych miejsc na meblach – szczególnie w kuchni, z czajnika, filiżanki i słoika z kawą. W nienagannie białych ubraniach wyglądali dziwnie pośród śmieci rozrzuconych po podłodze i zakurzonych starych mebli zasnutych firaną pajęczyn. Pojawił się też trzeci technik, ubrany normalnie, który wszystko fotografował, stawiając tabliczki z kolejnymi numerami.

Wreszcie zjawił się ten komisarz jakiś tam. Sam najpierw pokręcił się po wszystkich pomieszczeniach, uważnie się rozglądając, po czym wskazał technikom kilka miejsc, które powinni zabezpieczyć i dokładnie sfotografować.

Było już wpół do dwunastej przed południem. Stefan Wilski czuł się, jakby oglądał film kryminalny. Tylko napięcie było o wiele większe. Na początku komisarz wydał mu się typowym aroganckim policjantem, takim, któremu się już nie bardzo chce. Wilski przysłuchiwał się z ciekawością rozmowie komisarza z technikami nad skrzynią tapczanu.

– Widziałeś kiedyś coś takiego? – zapytał jeden z techników. – Wygląda, jakby leżała w rodzinnym grobowcu.

Przedsiębiorca budowlany odniósł dokładnie takie samo wrażenie. Tym, co wziął za kłęb starych szmat, kiedy pierwszy raz zajrzał do skrzyni, była kobieta.

Właściwie zmumifikowane szczątki kobiety. Ubranej w staromodną sukienkę w kwiatki, wełniany, rozpinany na piersiach sweter i czarne, wiązane półbuty.

Tak naprawdę trudno było ocenić, ile mogła mieć lat w chwili śmierci. Splecione na piersiach dłonie z długimi paznokciami były szare i wyglądały jak wykute z kamienia. Długie włosy o trudnym do zidentyfikowania kolorze zaczesane były do tyłu i zaplecione w warkocz, którego koniec spoczywał dokładnie między piersiami. I twarz...

Kiedyś musiała być piękną kobietą i ktoś, kto ją tutaj przyniósł, zadbał o to, żeby nadal była piękna. Tyle tylko, że efekt był upiorny.

Wyschniętą twarz pokrywał makijaż. Pomimo kurzu, który osiadł na zwłokach, można było jeszcze wyraźnie dostrzec róż na policzkach. Warg prawie nie było, a jednak ktoś krwawoczerwoną szminką starannie wyrysował kontur ust. Największe wrażenie robiły jednak oczy. Podczas procesu mumifikacji oczy wysychają jako pierwsze i zapadają się głęboko w czaszkę. Tutaj ktoś musiał je od razu usunąć. Wsadził do pustych oczodołów białe szklane kulki i narysował na nich błękitne źrenice. Powieki wyschły i przykleiły się do szkła. Teraz zwłoki patrzyły na wszystkich jakby spod przymkniętych powiek. Nieważne, gdzie stanął obserwator – oczy trupa zawsze zwrócone były wprost na niego, jak na starych portretach. Powieki również były pomalowane na kolor, który kiedyś mógł być różem, brwi zaznaczone wyraźną czarną kredką, a do powiek komuś nawet udało się przykleić sztuczne rzęsy. Drugi technik ściągnął z głowy kaptur białego kombinezonu ochronnego.

– Zwariowałaś? – zakpił. – Żaden trup nie patrzy w ten sposób z rodzinnego grobowca.

Komisarz się nie odezwał. Wpatrywał się w zwłoki w tapczanie z rękami wciśniętymi w kieszenie spodni. Trudno było cokolwiek odczytać z jego twarzy.

– Kiedy zmarła? – rzucił.

– Na pierwszy rzut oka trudno ocenić – odpowiedział pierwszy technik. – Może dwadzieścia, może trzydzieści lat temu.

– A może dziesięć – wtrącił drugi technik. – Wszystko zależy od warunków, w jakich było przechowywane ciało.

– Nie leżała cały czas tutaj?

– Zapomnij! Tu jest wilgotno. Nie byłoby szans na mumifikację.

– Ciało podlega procesowi mumifikacji w ściśle określonych warunkach – wtrącił pierwszy z techników. – Pomijając szczegóły, ważne jest, aby było w miarę sucho. Wtedy szybkie odparowanie wody z ciała powoduje wstrzymanie procesów gnilnych. Do tego trzeba dodać stałą temperaturę otoczenia. Tutaj leży od niedawna. I ten lokal jej nie służy. Jak się przyjrzyzsz dokładniej, zobaczysz, że na rękach pojawiły się pierwsze plamy. Tak samo na policzkach i szyi.

– Co to oznacza? – zapytał komisarz.

– Zwłoki złapały trochę wilgoci i zaczynają się normalnie psuć.

– Potrafisz ocenić, jak długo tu leżą?

Technicy popatrzyli na siebie.

– Jak myślisz, Robert? – zapytał pierwszy.

Drugi też ściągnął kaptur i podrapał się po karku.

– Kilka miesięcy – powiedział po namyśle. – Cztery do sześciu.

– Koniec domysłów – zakończył rozmowę pierwszy. – Reszta po sekcji.

– J-jasne.

Komisarz patrzył jeszcze chwilę na zwłoki, po czym odwrócił się i ruszył w kierunku Wilskiego.

Przedsiębiorca znowu opadł na krzesło i czekał.

– Jak się pan czuje?

Błękitne oczy komisarza patrzyły badawczo, ale życzliwie.

– Już lepiej.

– Mogę zadać kilka pytań?

– Proszę.

Komisarz stanął bokiem do Wilskiego i wyjrzał przez okno.

Wilski czekał.

– Wie pan, kim był Lucjan Siemieński? – zapytał nieoczekiwanie policjant.

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia – odpowiedział przedsiębiorca zmieszany.

– Był dziewiętnastowiecznym poetą, tłumaczem i uczestnikiem powstania listopadowego – odpowiedział komisarz, nadal patrząc przez okno w dół. – Jako pierwszy przełożył na język polski *Odyseję* Homera. Wie pan, czasem tak sobie myślę, że gdyby nie nazwy ulic, pewnie zapomnielibyśmy o większości ważnych postaci w historii Polski.

– Jest pan patriotą?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Sądzę, że tak – powiedział wreszcie. – Ale tu nie chodzi o patriotyzm. Uważam, że każdy, kto osiągnął w życiu coś znaczącego – jak na przykład Siemieński – powinien być przez następne pokolenia zapamiętany. Niestety, nowe pokolenia zapominają.

Spojrzał na Wilskiego przenikliwie, a później jego wzrok zaczął błądzić po śmieciach leżących na podłodze. Nie przestawał przy tym mówić.

– Mieszkam na osiedlu, gdzie ulice nazwane są nazwiskami pisarzy lub poetów. Tyrmand, Hłasko – te nazwiska jeszcze pamiętamy. Ale na przykład Parandowski, Cieślukowski, Dygat, Kossak-Szczuczka... Dobrze, że miasta się rozwijają i powstają nowe ulice.

Zamilkł i nagle przeszedł do sedna:

– Proszę mi opowiedzieć, jak znaleźliście ciało.

Stefan Wilski opowiedział – ze szczegółami i może trochę rozwlekle. Policjant nie przerywał. Na koniec skinął głową i powiedział:

– Nie będę pana zatrzymywał, panie Wilski. Mnie osobiście pana wyjaśnienia zadowalają, lecz nie ja prowadzę śledztwo.

– Jak to? – zdziwił się przedsiębiorca.

– Tylko w serialach kryminalnych dzielny policjant samotnik rozwiązuje pasjonujące zagadki kryminalne, ściga przestępców,



a potem ich łapie albo bez zastanowienia do nich strzela. Tak naprawdę śledztwo prowadzi prokurator, a policja wykonuje czynności operacyjne. Samodzielnie zajmujemy się drobnymi przestępstwami i wlepianiem mandatów za złe parkowanie. Teraz czekamy na prokuratora. – Komisarz uśmiechnął się ironicznie. – A jak wiadomo, prokuratorzy w naszym pięknym kraju prowadzą sto spraw naraz, ciągle się więc spóźniają. To prokurator powinien pana przesłuchać, ale nie mam serca pana dłużej trzymać w tym bałaganie. Proszę jechać do domu i odpocząć. Tylko ostrzegam, prokurator mnie nie lubi i może pana wezwać na oficjalne przesłuchanie. Chociaż wątpię, czy będzie mu się chciało kiwnąć palcem w tej sprawie.

Wilski wstał z krzesła. Uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie.

– Panie komisarzu.

Policjant odwrócił się i obrzucił Wilskiego pytającym wzrokiem.

– Czy ta kobieta, te zwłoki... Od jak dawna ona nie żyje?

– Od bardzo wielu lat.

Prokurator Dariusz Wysocki zjawił się dwa kwadransy po wyjściu Stefana Wilskiego. Był niewielkiego wzrostu, ale wydawało mu się, że urodą nawiązuje do najlepszych wzorców z amerykańskich filmów. Zawsze gładko się golił, krótkie włosy układał starannie za pomocą żelu, a zapach jego drogich perfum natychmiast zabił wszystkie przykre zapachy w mieszkaniu na poddaszu. Tak naprawdę można było powiedzieć, że wyglądał jak klasyczny prokurator z kryminalnego filmu: czarny garnitur, biała koszula, wypolerowane na błysk buty. Chodził ostrożnie po mieszkaniu, starając się ich nie zabrudzić. Obejrzał zwłoki, pozwolił technikom zapakować je do worka, po czym podszedł do komisarza, który ciągle stał przy otwartym oknie, starając się trzymać od prokuratora Wysockiego bezpieczny dystans. Nie podali sobie rąk na przywitanie.

– Kto znalazł ciało? – zapytał prokurator oschłym tonem.

– Ekipa budowlana – odpowiedział podobnie policjant.

– Gdzie oni są?

– Porozmawiałem z nimi i ich zwolniłem.

Prokurator nie był zadowolony.

– Przypominam, komisarzu, że to ja prowadzę śledztwo i ja decyduję, kiedy można zwolnić świadków.

– Formalnie nie ma jeszcze śledztwa. – Policjant wzruszył ramionami.

– Już jest, z artykułu dwieście sześćdziesiątego drugiego kodeksu karnego.

Prokurator specjalnie wymienił tylko paragraf, lecz komisarz wiedział, że artykuł mówi o zbezczeszczeniu zwłok.

– Nie wykluczałbym artykułu sto czterdziestego ósmego kodeksu karnego.

– To się dopiero okaże.

Ekipa techniczna z kpiącymi uśmieszkami na ustach przysłuchiwała się tej wymianie złośliwości.

Kiedy kilka minut później prokurator Wysocki wyszedł, ułożyli worek ze zwłokami na noszach. Były tak wysuszone, że po stromych schodach nieśli je bez wysiłku.

Komisarz wyszedł ostatni. Poinstruował mundurowych policjantów pilnujących wejścia, żeby zabezpieczyli dostęp do mieszkania, po czym ruszył za technikami z motocyklowym kaskiem pod pachą. Nie był zachwycony czekającym go śledztwem i współpracą z Wysockim. Zresztą, jaką współpracą? Zapowiadało się raczej na nieustanną walkę.

Idący przed nim technik, który robił na poddaszu zdjęcia, jakby myślał o tym samym.

– Marcin, dlaczego on cię tak nie cierpi? – zapytał.

– Długo by opowiadać.

– Chodzą plotki, że przez kobietę – powiedział Robert Rajcza, idący z tyłu noszy.

– Słuchaj plotek, to w zimie będziesz chodził w trampkach – odciął się komisarz.

Byli już na parterze. Natknęli się na dwoje mieszkańców kamienicy stojących w drzwiach jednego z mieszkań. Komisarz minął ich i zreflektował się dopiero po chwili. Po wyjściu pro-

kuratora uznał, że nie zamierza tracić energii na wyjaśnienie tej sprawy. Przeciągnie wszystkie terminy i Wysocki pewnie będzie musiał umorzyć postępowanie. Przecież nie może popsuć sobie statystyk. Teraz jednak poczuł wyrzuty sumienia. Cholera, w końcu jest policjantem.

Odwrócił się na pięcie i przeskakując po dwa schodki, wrócił pod drzwi mieszkania numer trzy. Mężczyzna i kobieta – pewnie małżeństwo – wyglądali na ludzi w jego wieku. No, byli może parę lat młodszy. Kobieta patrzyła zza wąskich okularów w ciemnych oprawkach. Pokazał im odznakę.

– Jestem komisarz Marcin Zakrzewski z komendy miejskiej policji. Czy mogę zadać państwu jedno pytanie?

– Oczywiście. Czy coś się stało? – zapytała kobieta.

– Ekipa budowlana znalazła zwłoki w lokalu numer dwadzieścia jeden – wyjaśnił i zaraz dodał uspokajająco: – To chyba nikt z mieszkańców.

– To mieszkanie stało od lat zamknięte – odezwał się mężczyzna.

– Właśnie w związku z tym mam do państwa pytanie. Czy widzieliście kogoś obcego, kto w ciągu ostatnich kilku miesięcy kręcił się po klatce schodowej? Albo może któryś z sąsiadów coś na ten temat mówił?

Kobieta spojrzała na męża.

– Chyba nie. – Pokręciła głową.

Komisarz podał jej swoją wizytówkę.

– Gdyby pani sobie coś przypomniała, proszę dzwonić o każdej porze dnia i nocy.

– Oczywiście.

Skinął im głową i wybiegł na ulicę. Przynajmniej próbował. Będzie miał spokojniejsze sumienie.

Jego honda stała na chodniku kilka kroków dalej. Starego forda transita ekipy technicznej już nie było. Wsiadł na motor, włożył kask, odpalił silnik i wolno wyjechał na ulicę. Było już południe, a on nie pił jeszcze kawy.

### 3 PSIE KŁY

25 czerwca, czwartek po południu

Marcin Zakrzewski w ostatniej chwili cofnął dłoń. Poczł tyłko, jak wielkie psie kły ześlizgują mu się po nadgarstku. Zanim zdążył się ruszyć, pies zaatakował ponownie. Skoczył na niego przednimi łapami i pyskiem próbował dosięgnąć jego twarzy. Instynktownie udało mu się złapać go za sierść po obu stronach szyi i zatrzymać. Tuż przed sobą widział dwie wielkie szczęki najeżone zębami. Chwilę się siłowali, wreszcie Marcinowi udało się zrzucić z siebie psa. Zanim owczarek złapał przyczepność na śliskich kaflach pokrywających podłogę w kuchni, zdążył uciec do pokoju.

To było jednak wszystko, co mógł zrobić. Na środku pokoju odwrócił się, a pies z impetem skoczył na niego, zwalając go z nóg.

Leżał na dywanie pokonany i zasłaniał się przed psem, który machając wesoło ogonem, koniecznie chciał polizać go po twarzy albo po szyi.

W drzwiach stała Magda i śmiejąc się, zachęcała sukę do większej aktywności.

– Atakuj, Tina! Wyliż go porządnie! Za to, że tak późno wrócił.

Marcin też śmiał się na całe gardło, aż osłabł i nie mógł dłużej się bronić.

– Tylko nie po uchu! – krzyknął. – Magda, proszę, zawołaj ją.

– Tina!

Suka zadowolona z siebie podbiegła do kobiety, machając ogonem tak szeroko, że objął się o krzesła i stół.

– Dobry piesek, dobry – mówiła, drapiąc ją między uszami.

Marcin podniósł się z podłogi i otrzepał z psich kudłów. Krytycznie popatrzył na dywan.

– Znowu trzeba będzie odkurzać – mruknął.

– Taki lajf. Sam chciałeś mieć psa.

– J-jasne.

Tak, mniej lub bardziej intensywnie, wyglądał ich codzienny rytuał powitania.

W połowie stycznia sąsiedzi zawiadomili policję, że w mieszkaniu na ulicy Wiślańskiej, na wrocławskim Kozanowie, od kilku dni żałośnie ujada pies. Na miejsce równocześnie przyjechały patrole policji i straży miejskiej. Po krótkiej rozmowie z sąsiadami zdecydowano o wyważeniu drzwi. W mieszkaniu policja znalazła wygłodniałego szczeniaka rasy owczarek niemiecki, a w łazience kobietę w wannie wypełnionej wodą pomieszaną z krwią. Wyglądało na to, że kilka dni wcześniej popełniła samobójstwo, podcinając sobie żyły. Nie było jednak pewności, czy nie brały w tym udziału osoby trzecie, dlatego na miejsce został wezwany prokurator i ekipa śledcza. Tak się złożyło, że razem z technikami do mieszkania trafił komisarz Marcin Zakrzewski. Prokurator zlecił mu czynności sprawdzające, a sam się ulotnił, zostawiając go z ekipą z laboratorium kryminalistycznego.

Nie było żadnych podejrzanych śladów. Zakrzewski porozmawiał z sąsiadami, poprzeglądał papiery, podzwonił w kilka miejsc i bez problemów ustalił, że kobieta od wielu lat cierpiała na depresję, leczyła się bez skutku, dwa tygodnie wcześniej z powodu choroby straciła pracę. Nie miała przyjaciół ani znajomych, jedynie rodzinę gdzieś na wsi, ale nie utrzymywała z nią kontaktów. Typowe samobójstwo spowodowane głęboką depresją.

Ekipa techniczna skończyła pracę, złożyła sprzęt i wyjechała, ciało zostało zabrane na sekcję, trzeba było zabezpieczyć mieszkanie. Policjant z plombownicą stał już przy drzwiach. Był tylko jeden problem – w mieszkaniu została suczka. Wcześniej Marcin ją nakarmił resztką suchej karmy dla szczeniaków dużych ras, którą znalazł w jednej z szafek, i nalał wody do miski. Od tego momentu nie odstępowała go na krok. Nie było wyjścia, musiał zabrać ją do schroniska. Na wieszaku przy drzwiach wisiała smycz. Kiedy Marcin ją zapinał, pies skakał ze szczęścia, potem ciągnął go po schodach, jakby na dole czekało sto kilogramów świeżo wędzonej kiełbasy.

Komisarz Zakrzewski nigdy nie był w schronisku dla zwierząt. Kiedy zajechał na ulicę Ślazową i zatrzymał auto na parkingu przed budynkiem, usłyszał ujadanie kilkunastu psów. Tina – bo tak nazywał szczeniaka jeden z techników – też je usłyszała. Wtedy stało się coś dziwnego – posmutniała i zrobiła się apatyczna. Marcin nie miał problemów z zaprowadzeniem jej do budynku, gdzie została przebadana przez dyżurnego weterynarza, zaewidencjonowana, a jeden z wolontariuszy miał odprowadzić ją do boksu.

Nie spodziewał się po sobie takiej reakcji. Wydawało mu się, że jako policjant z wydziału zabójstw jest twardy i nic go nie złamie. Ale Tina patrzyła takim wzrokiem... Powiedział wolontariuszce, że sam pójdzie z suczką do jej nowego domu. Kiedy szli wzdłuż ponumerowanych boksów, w których mieszkało po kilka psów, w głowie policjanta zrodziło się jedyne możliwe skojarzenie. Więzienie! Prowadził szczeniaka do więzienia. Wsadził do więzienia wielu złych ludzi, ale im się to należało. Tina była niewinna.

Godzinę później wszedł z Tiną do swojego mieszkania przy ulicy Kossak-Szczuckiej. Miał sześciomiesięczną suczkę rasy owczarek niemiecki i musiał się nią zająć.

Najgorszy był nienormowany czas jego pracy. Kiedy nic się nie działo, wracał do domu normalnie albo zaglądał do psa w ciągu dnia. Zazwyczaj jednak spędzał w pracy więcej niż osiem godzin. Tina nie mogła siedzieć w mieszkaniu sama przez tak długi czas. Nawet nie chodziło o to, że z nudów zjadła mu buty do biegania, ściągnęła z oparcia krzesła jego koszulę, zawlekła na swoje posłanie i jeszcze na nią nasikała albo dobrała się do chlebaka i zjadła dwie bułki i pół chleba. Suczka musiała regularnie wychodzić na spacer.

Czasem cuda się jednak zdarzają. Któregoś wieczoru, wracając ze spaceru z Tiną, spotkał sąsiadkę. Mieszkała piętro wyżej, wprowadziła się niedawno. Zaczęli rozmawiać i okazało się, że Magda – bo tak miała na imię – pracuje w domu, uwielbia owczarki i chętnie wyjdzie czasem z Tiną na spacer.

Jakieś dwa tygodnie później wylądowali w łóżku. To stało się tak naturalnie i gładko, że później musieli ustalić pewne zasady. Nie byli sobą zauroczeni od pierwszego wejrzenia, na swój widok nie czuli przyspieszonego bicia serca, nie planowali spędzić ze sobą reszty życia. Chodziło tylko o seks. Ona od dawna nie miała nikogo, a on czuł się samotny po rozstaniu z kobietą, która wydawała mu się dla niego stworzona.

– Może napijesz się kawy? – zapytał z kuchni.

– Chętnie.

Zaczął przygotowywać kawę w starym ekspresie przelewowym, kiedy Magda stanęła za nim i objęła go ramionami.

– Może wypijemy kawę później? – szepnęła mu do ucha.

Przesunęła dłońmi po jego piersiach i brzuchu. Zamruczała, czując pod palcami rosnące wybrzuszenie w spodniach.

– Muszę wziąć prysznic – powiedział.

– Będę czekała w łóżku.

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas



bukowy.las

www.bukowylas.pl

**KUP TERAZ**



swiatksiazki.pl



## TO JEST ILUZJA, ROZUMIESZ? MIESZAJĄ NAM W GŁOWACH!

Komisarz Marcin Zakrzewski jest zmęczony i myśli o odejściu z policji. Jednak podświadomie wciąż czeka na kolejne śledztwo takiego kalibru jak sprawa seryjnego mordercy ze Szczepanowa.

Kiedy w jednej z wrocławskich kamienic zostają odnalezione zmumifikowane zwłoki kobiety, Zakrzewski jeszcze nie przeczuwa, że będzie to początek śledztwa jego życia. Tymczasem pojawiają się kolejne brutalne zabójstwa, mnożą się fałszywe tropy, trudno powiązać ze sobą ofiary i brak jest wyraźnego motywu zbrodni. Gdy w tym chaosie Zakrzewski sam zostaje podejrzanym, zaczyna się domyślać, że stanowi rekwizyt w rękach iluzjonisty.

Nr 21000170

ISBN 978-83-8074-657-2



9 788380 746572



bukowylas.pl

Cena: 49,90 zł